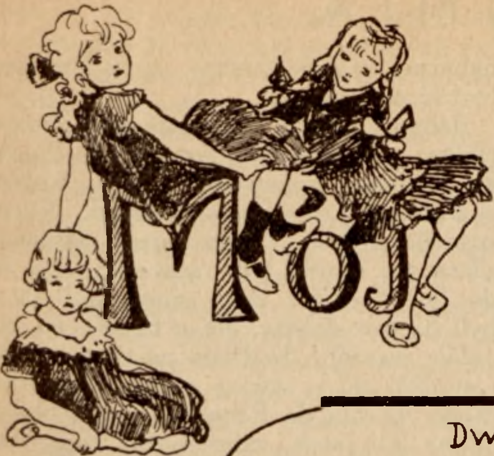


MÓJ ŚWIATEK

DWUTYGODNIK DLA DZIEWCZYNEK.

Nr. 3. 1. października 1927.

Dodatek do Nr. 16 „Dziś i Jutro".

KRÓLOWA RÓŻAŃCA ŚW.

Królowa niebios w blasku swej chwały,
Cud cudów Bożej miłości!
Do stóp Jej, hołdy, niesie raj cały
W zachwytu tonąc radości.

Szaty utkane z słońca promieni,
Gdzie lśnią jak pereł miljony
Dusze zdobyte w królestwie cieni
Królowej skarb niezliczony.

Brylant na skroni tak żarem jaśnieje,
Że gwiazdy korony bledną:
NIEPOKALANOŚĆ blaski wciąż sieje
Na niebo i ziemię biedną.

Anioły cudne pienia śpiewają
I chwałę Dziewicy głoszą
A złote harfy ich rozbrzmiewają
Bo Stwórcy dzięki zanoszą.

. . . .

Wtem milkną głosy! — na znak Królowej
Niebo wsłuchane... bo z ziemi
Cóż to za tony melodji nowej
Że tak wzruszona niemi.

Z tronu zstępuje niebios Królowa
I do wrót złotych się zbliża:
„Ave Maria!" najmilsze Jej słowa,
Więc się do dzieci swych zniża...

Błagalne „Ave", z padołu się wznosi
Głos rośnie wciąż, potężnieje,
Bo cała ludzkość na klęczkach prosi
Swą Matkę, jedyną nadzieję.

I wśród miljonów głos każdy poznaje
A słodki uśmiech tej Pani
Kiedy z różańcem dziecię Jej staje
I „Zdrowaś" niesie Jej w dani.

. . . .

Wnet Aniołowie, Jej słudzy wierni
„Zdrowaśki" skrzętnie zbierają
I w różnobarwne róże bez cierni
Cudownie ie przemieniają.

Do stóp Królowej znoszą te kwiatki,
RÓŻAMI zdobna już cała,
Matce najmilsze, gdy dają je dziatki...
KRÓLOWĄ RÓŻAŃCA została.

N.

BABUNIA.

Babunia chora... W całym domu tak cicho, jak to bywa w niedzielę, gdy wszyscy wyjadą do kościoła. Chłopcy gdzieś poszli, wołali nawet Hesię, by przyłączyła się do nich, ale ona wolała zostać — bo przecież babunia chora...

Dziewczynka obeszła dwór, wszystkie pokoje, korytarze, zajrzała na strych, poszła za kucharką do piwnicy, przez chwilę przyglądała się, jak Onufry owoce układa, ale dziwnie nic ją dzisiaj nie bawiło. Próbowała uśmiechnąć się do kota siedzącego przy głównej alei parku — i nie potrafiła. Zamiast uśmiechu kilka łez potoczyło się po buzi.

Hesia weszła w gąszcz posplatanych gałązek; za najmniejszym ruchem powódź drobnych listków złocistej barwy spływała na ziemię. Pierwszy raz chyba w swem życiu dziewczynka patrzyła patrzyła obojętnie na to wszystko, co ją dotąd zachwycało, co wywoływało w jej maleńkiej główce niekończący się łańcuch pomysłów, pragnień, zamiarów.

Czy to możliwe, że babcia jest chora? jak to się stało? może im śniło się tylko? — przecież oni zawsze mieli takie nadzwyczajne sny, raz miłe, kochane, kiedyindziej znowu straszne, że z krzykiem budzić się musieli.

Babunia zawsze była najlepszą przyjaciółką, powierniczką wszystkich figlów, niezrównaną pomocnicą, gdy chodziło o zrobienie komuś niespodzianki. Ilekroć spsociło się coś takiego, czego własnemi siłami nie można było naprawić, szło się do babci — bo choć mamusia i tatuś byli bardzo dobrzy, ale z babcią to zupełnie inaczej! Siedziała na swym fotelu i modliła się — zawsze rano i wieczorem długo mówiła do Pana Boga — a Hesia, Witek lub Jurek, zależnie od tego, kto najwięcej nabroił, stawali w drzwiach i cichutkim, żałosnym głosikiem wołali: „Babciu..." — Nie słyszy, modli się tak bardzo, choć to wcale nie jest niedziela, że nie słyszy swoich myszek. Ponawiają więc szturm: „Babuniu!" Znowu cisza, tylko ziarnka różańca cichym szelestem zsuwają się po czarnych fałdach sukni. Nie, to stanowczo zadługo! kto wie, czy tam już gospodyni nie zobaczyła, że kot przespacerował się po formach z ciastem dzięki temu, iż Hesia wystraszyła Jurka, który trzymał swego ulubieńca. „Babciu, babuniu, czy prędko zmówisz twój długi pacierz?" Teraz usłyszała, odwróciła się ku winowajcom i nim opowiadać zaczęli, wstała, by iść razem z nimi winę naprawiać.



...ponawiają więc szturm.

Co to za dzień smutny dzisiaj! Słońce wprawdzie świeci, niebo jest więcej szafirowe, niż zwykle, z drzew sypią się nieustannie złotawe liście, i już wcale trawników nie widać, ani ścieżek w parku rozróżnić nie można — a przecież tak strasznie smutno, że łzy same stają w oczach i w gardle dziwnie coś ściska: ani przełknąć nic, ani przemówić nie można. Czy oni się nie pomylili, czy to naprawdę „najprawdziwą prawdę„ babcia jest chora?

Im jaśniej słońce zalewa ogród i niedalekie pola, tem smutniej Hesi. Koło furtki spotkała chło-

pców — nie biegli do niej z krzykiem, nie chwytali za ręce, nie proponowali wyścigów „do samego domu". Już wracacie, szkoda ! chodźmy wszyscy na groblę.

Przez drogę nie padło ani jedno słowo — cisza panująca w przyrodzie wdzierała się swoją spokojną, jesienną słodyczą do trzech maleńkich, stroskanych duszyczek, łagodząc ostrość bólu zbyt może silnego na ich lata. Gdy usiedli na grobli zaczęło się opowiadanie o babci — każde wyliczało cały szereg sytuacyj, w których babunia była pocieszycielką, wybawczynią i ucieczką. Jednego szczególniej zapomnieć nie mogli, co właśnie rok temu zdarzyło się. Siedzieli sobie na tej samej grobli — nagle Hesia rzuca projekt: „Wiecie co, zamknijmy oczy i staczajmy się po łące, aż do rzeki — kto się najdalej stoczy. Będziemy zupełnie jak te armaty podczas manewrów na kuźnickiej górze — ciągle się staczały, aż musieli żołnierze doły dla nich kopać!" „Doskonale, udawajmy armaty — ty, Hesia, jak chłopak, wcale nie jesteś babą!"

Zaczęli się staczać po starszeństwie: Hesi poszło szczęśliwie, Witkowi też; dzielili się oboje wrażeniami, gdy nagle rozległ się plusk i krzyk — to trzeciej armacie nie udała się próba: wpadła z całym rozpędem do rzeki.

Rozumiecie chyba dobrze, że mogło się to niewesoło skończyć. Naturalnie, już nie próbowali manewrów, lecz prosto poszli do babci. Na drugi dzień dowiedział się cały dwór o wypadku, nawet tatuś zabronił przez tydzień wychodzić poza obręb parku, ale nie gniewał się wcale, ani odrobinki!

— I to wszystko przez babcię! zakończył drżącym głosem Jurek.

— Co my teraz zrobimy dla babuni? rzuciła pytanie Hesia. Przed oczami trojga dzieciaków stanęła smutna scena dzisiejszego ranka: oni już wstali i dosyć hałaśliwie ubierali się na górze, gdy w drzwiach stanęła mamusia:



...tak strasznie smutno...

— Dzieci, ciszej! ubierzcie się i bardzo cichutko zejdźcie na dół — babunia ciężko chora! Te trzy ostatnie słowa jakimś ogromnym ciężarem położyły się na sercach dzieci — w jednej chwili wszystko straciło urok: nie pojmowali, że tyle rzeczy mogło ich dotąd bawić.

— Co my zrobimy dla babci?... Jakby za cichem porozumieniem trzy drobne figurki uklękły na grobli zalanej słońcem, trzy pary spłakanych oczu podniosły się w szafirowe niebo, gdzie mieszka Pan Bóg i drżące głosiki zaczęły chórem odmawiać wszystkie modlitwy, jakich ongiś droga babunia nauczyła. Krople potu spływały im z czoła, kolana bolały od zbyt długiego klęczenia, chwilami któreś milkło nie mogło głosu wydobyć wśród łkań, lecz mimo wszystko przed tron niebieski płynęła nieprzerwana modlitwa za tę, która odchodziła do Boga na wieczny pacierz.

M. R.

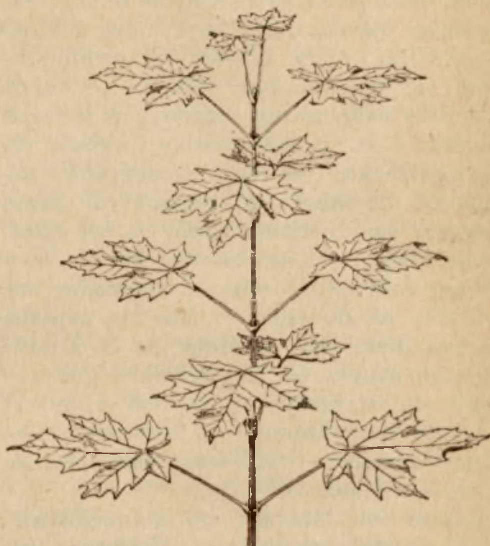
O NOSKACH KLONU.

Zejdźże z drogi,
Bo bez trwogi
Hufiec idzie nasz!

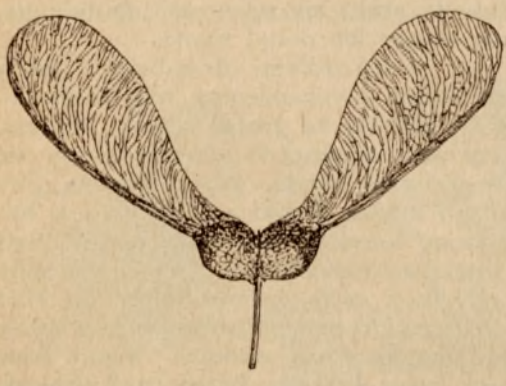
Pędzi z wiatrem na wyścigi,
Srojąc różne pląsy, drygi,
To się w nieba wzbija wyże,
To na ziemi spada niże.

Dalej z drogi,
Bo bez trwogi
Hufiec idzie nasz!

Tak śpiewały przy wtórze jesiennego wichru całe chmary małych owocków i nasionek, przelatujące ponad leżącym na chodniku w parku małym noskiem klonu. Nietylko nasionka przebiegały tą drogą. Szli również tłumnie ludzie: mamy, wiozące w wózkach swoje dzieci, bony prowadzące na spacer starsze maleństwa, studenci i uczennice. Lada chwila groziło owockowi klonu zdeptanie i śmierć niesczytna.



Ulistnienie pędów klonu.



Nosek klonu.

— Ejże mały leniuszku, a w drogę, to nie łaska? zaświstał mu nad uszami poczciwy wiatr, który specjalną objął pieczę nad małemi owockami. Porwał go za skrzydełko i oto nosek klonu znalazł się wysoko nad głowami przechodniów, bezpiecznie unoszony wśród grona wesołych towarzyszy.

Podochocony chciałby teraz bujać i bujać bez końca, ale wiatr, któremu i tak głowa pękała od nawału zajęć, gdyż na jesień wiele bardzo roślin powierza mu swoje owocki do rozsiania po świecie, nie miał czasu bawić się. Zaniósłszy go do małego ogródka pod miastem pozostawił go tam na opiece troskliwej matki-ziemi, aby go uśpiła pod miękką kołderką śniegu i obudziła dopiero na wiosnę.

M. S.

Jak lew zapraszał gości na zabawę.

(Dokończenie).

Rzeźwość poranku dodawała sił i podniecała do szybkiego marszu. Po kilku godzinach doszli do wielkiego lasu. Tymczasem zmierzch zapadł, szli więc w ciemnościach, potykając się o krzaki i korzenie, wreszcie zbłądzili.

— Patrzcie — zawołał nagle kogut — drzewa się przerzedzają, a tam czy to nie światło księżyca?...

W istocie na niebo wytoczył się pyzaty księżyc i blaskiem swoim rozjaśnił położoną wśród drzew polankę. Na środku jej stał jakiś dziwny budynek.

— To pewno chatka gajowego — wołał baran.—Nareszcie znajdzie się ktoś, kto nam wskaże drogę.

Nie była to jednak chatka lecz kamienna grota zamknięta ogromną deską, zastępującą drzwi.

— W każdym razie jakieś schronienie — rzekł baran — w którem można będzie spocząć godzin parę. Wchodźmy śmiało. I pchnął głową drzwi, które ustąpiły natychmiast.

Lecz zaledwie wszyscy znaleźli się w obrębie owego dziwnego mieszkania, kiedy drzwi z okrutnym trzaskiem zamknęły się z powrotem; pies rzucił się i próbował otworzyć je na nowo. Daremnie! Żadna siła nie zdołałaby ruszyć ich z miejsca.

— Jesteśmy w pułapce — zawołał przerażonym głosem.

— Oj, oj, oj! — wrzasnęło prosię. Teraz zginę tu z głodu i zmęczenia. I położywszy się na ziemi poczęło szlochać.

Blask księżyca wdzierał się przez szczeliny, jakie się potworzyły w ścianach groty i przy świetle tem podróżni ujrzeli całe stosy kości i szkieletów zwierzęcych. Dreszcz przeszedł po nich od stóp do głowy.

— Czy wiecie, gdzie jesteśmy? — wyszeptał zdławionym głosem kogut.

— W jaskini tygrysa, największego wroga naszego pana i władcy, lwa, który toczy z nim nieustanną walkę o posiadanie tego kraju — odrzekł baran.

Z właściwą sobie zimną krwią objął on grozę położenia.

— Ten potwór wybrał się na polowanie, gdyby nie to już bylibyśmy w jego pazurach. Schowajmy się oto w ten kąt, a skoro wejdzie, rzucimy się na niego, a może uda nam się go zgładzić. Projekt ten przyjęty został przez wszystkich z wyjątkiem prosięcia, które przytulone do ściany i drżące ze strachu kwiczało w niebogłosy.

Po chwili zgrzytnęły zawiasy i potężny tygrys wtoczył się do groty.

— Muszę zostawić drzwi otwarte... duszno mi — rzekł i przycisnął sprężynę. — Ktoś tu jest... czuję wroga — mamrotał — lecz w tej chwili zwalił się na ziemię i zasnął.

— Kukuryku! — krzyknął kogut, dając sygnał do boju.

Na to hasło rzucili się we trzech na nieprzyjaciela. Baran tłukł go rogami i kopytami. Kogut bił dzióbem po oczach i głowie. Pies uchwycił za gardło i dusił.

Siła napadu była tak wielka, iż potwór uległ przemocy i po chwil leżał już pokonany.

— Zwycięstwo, zwycięstwo! — wołały radośnie zwierzęta.

Słysząc to, prosię wyskoczyło z kąta i rzuciwszy się na martwego tygrysa, poczęło z całej siły ciągnąć go za ogon.

— Nie dajmy się — wołało. — Śmierć wrogowi najjaśniejszego króla. Wiwat! Zwyciężyliśmy!

— Przestań go targać za ogon, bo i tak nic nie czuje — rzekł pogardliwie pies. — A teraz w nogi! żeby jaknajprędzej wydobyć się z tego lasu.

Lecieli jak szaleni, aż dopadli do kraju boru.

Przed niemi roztaczało się pole, po którem przewalał się z gwizdem i szumem Wiatr.

— Panie Wietrze, panie Wietrze! powiedz nam proszę, w której stronie jest zamek Lwa, naszego Króla — spytali.

Lecz Wiatr nie odpowiedział, tylko przeleciał koło nich z hałasem i po drodze potrącił prosię, które upadło z wrzaskiem w zagony.

— Umieram — krzyczało. — Pożegnajcie ode mnie starą gęś. Bądźcie zdrowi, towarzysze.

— Poczekaj jeszcze trochę — zawołał radośnie kogut — bo oto widzę kogoś, kto nas napewno wybawi z kłopotu.

Była to mała jasnowłosa dziewczynka. Miała czerwoną sukienkę i błękitną chusteczkę na szyji. Szła widać po grzyby do lasu, gdyż niosła w ręku koszyczek.

— Czy nie mogłabyś nam powiedzieć, śliczna panienko, w którą stronę mamy się udać, aby dostać się na dwór Lwa, Króla tej okolicy — spytał grzecznie kogut, szastnąwszy nogami w eleganckim ukłonie.

— Oh, zamek Króla jest dość blisko, a jednak możecie zbłądzić, szukając go — odrzekła uprzejmie.

— Ktokolwiek zwróci się na lewo, wpadnie w okropne trzęsawiska, wprost wyjdzie na drogę, która go od zamku oddali. Ale, czy widzicie ten pagórek?... Rezydencja Lwa jest za nim schowana, dlatego jej nie widać. Idźcie więc polem do tej kępy brzózek, potem na prawo ścieżką, aż do strumyka. Skoro przejdziecie kładkę, obejdźcie pagórek i zaraz ujrzycie bramę prowadzącą do zamku. Nie znam króla, ale mój tatuś mówi, iż jest on bardzo dobry, zwłaszcza dla biednych, więc napewno każe was nakarmić i da wam nowe ubranie.

— Dziękujemy ci, śliczna dzieweczko — zawołali uradowani pies, kogut i baran. — Nie zapomnimy nigdy twojej dobroci.

A ona kiwnęła im rączką na pożegnanie i uśmiechnęła się mile.

— Bierze nas żebraków — mruknęło kwaśno prosię. — Nic dziwnego. Wyglądam, jak gdybym przez dwanaście godzin tarzał się w błocie. I wy nie lepiej wyglądacie. Czy tylko puszczą nas do środka? — spytał niespokojnie, kiedy stanęli wreszcie przed bramą pałacu.

— Nie lękaj się — odrzekł pies — znam odźwiernego. Jest to rodzony brat listonosza.

W istocie odźwierny zając zawahał się przez chwilę, czy może wpuścić na zabawę takich obdartusów, lecz wysłuchawszy opowiadania psa wzruszył się bardzo i kazał zaraz zaprowadzić ich do oficyn pałacu, pomocnika zaś swego posłał z raportem do wielbłąda, najwyższego ochmistrza dworu.

— Mam nadzieję, że nam dadzą co zjeść! Umieram z głodu — jęczało prosię...

Lecz w tej chwili podróżni ujrzeli nadlatującego wielbiąda. Pędził tak, że garb chwiał mu się na obie strony, a biały wysoki krawat przekrzywił się zupełnie na bok.

— Cześć bohaterom! — krzyknął.

— Chodźcie do króla, chodźcie zaraz do króla, tak jak stoicie, w tej poszarpanej odzieży.

I zaprowadził ich triumfalnie do wspaniałej sali, gdzie na tronie odziany w purpurę i gronostaje siedział Lew otoczony gośćmi i orszakiem dworzan.



...na tronie, odziany w purpurę i gronostaje, siedział lew.

— Najjaśniejszy panie — rzekł wielbłąd, składając przed monarchą głęboki ukłon. — Przyprowadzam ci gości. Wygląd ich niepozorny i zbrukane szaty, ale czemże ta zewnętrzna powłoka wobec ich męstwa. Zaproszeni przez ciebie na zabawę, pokonali w drodze największego wroga twego, tygrysa, w jego własnym domu...

— Czy być może — zawołał król uradowany. — Zbliżcie się, dzieci moje, niechże was uściskam. Opowiedzcie mi przytem, jak zdołaliście zmóc potwora, którego żaden z moich podwładnych uśmiercić nie zdołał.

Tu wystąpił baran i opowiedział całą przygodę. Wzruszenie ogarnęło zebranych i poczęli wyciągać chustki od nosa, żeby obetrzeć łzy, a najwyższej ochmistrzyni dworu, starej antylopie, zrobiło się tak słabo, że musiano ją wyprowadzić z sali. Baran nie omieszkał dodać, że byliby prawdopodobnie błąkali się do tej pory albo zginęli w trzęsawiskach, gdyby nie pomoc jasnowłosej dziewczynki.

— Tak, tak — odparł król — ludzie mają dobre serca. Trzeba ich za to kochać i starać się im odwdzięczyć. A teraz proszę na ucztę.

Przy stole pies, kogut, baran i prosię przystrojeni w nowe śliczne fraki zajęli miejsce obok króla, bawili się doskonale i byli przedmiotem ogólnego podziwu i zachwytu.

Nazajutrz po skończonej zabawie, król przywołał ich do siebie i rzekł na pożegnanie.

— Wspominaliście mi wczoraj o wielkim dowodzie dobroci ludzkiej dla was. Za tę dobroć należy się zapłata. Przedewszystkiem nie unikajcie człowieka. Dotąd mieszkaliście na pustkowiu i żyliście sami dla siebie. Przenieście się teraz do siedzib ludzi, służcie im i bądźcie im przyjaciółmi. Wtedy i wam będzie lepiej, i oni mieć będą z was korzyść i pożytek. Pamiętajcie że wdzięczność jest wielką cnotą. A teraz żegnam was. Kłaniajcie się odemnie gęsi i powiedzcie, że przykro mi iż nie mogłem jej ugościć w moim domu...

I podał im do pocałowania swoją królewską dłoń..

Stara gęś raz po raz wybiegała na drogę, nie mogąc się doczekać powrotu sąsiadów, a kiedy nadeszli, dziób jej nie zamykał się od pytań.

Była głęboko wzruszoną serdecznem pozdrowiem króla, ale winszowała sobie, że zostawszy w domu, uniknęła tak strasznego niebezpieczeństwa.

A gdy baran powtórzył jej zlecenie króla i wytłumaczył jego przyczynę, zamyślila się głęboko i po chwili rzekła:

— Król ma rację! Przyzwyczaiłam się coprawda do tego pustkowia i ciężko mi będzie z niem się roztać, ale spełnię wolę naszego władcy. Tam u ludzi życie nasze na coś przydać się może...

I zaraz zabrała się do pakowania rzeczy. A kiedy przy tej pracy ogarniał ją chwilowy smutek, spędzała go słowami.

— Tak, tak! Król ma rację. Wdzięczność jest piękną cnotą. Cóż zresztą po życiu, z którego nigdy nikomu żaden nie wypłynie pożytek.

(*Przerobiła z franc. J. Dynowska*)

BAJKA.

„Nianiu, nianiu, powiedz bajkę!“
A to smyki — rzecz ciekawa
Wy myślicie że to łatwo
Dla was bajki trząść z rękawa?
Gdzie się tylko od nich skryję
Wszędzie znajdą mnie psotnicy
Cztery pary małych rączął
Czepia mi się u spodnicy.
Czteery cienkie głosy piszczą
Nad uszami już od rana;
„Bajkę, bajkę, powiedz bajkę,
Moja nianiu ukochana!“
Żebyście choć grzeeczne były,
Gdzie tam! — w głowie same żarty,
Buzia stale zmorusana,
Nosek zawsze niewytarty...
Bądźcie pewne, nie opowiem,
Szkoda nawet z wami gadać...
No... — i czego się mażecie,
Zaraz zacznę opowiadać.

Będzie bajka — no a o czem?
Czy o czapce „biedką“ zwanej?
Czy o wróżce, co chodziła
W sukni, słońcem haftowanej?
Czy o tęczach wam powiedzieć,
Co zwieszały się na chmurze?
Czy o zamku z balkonami,
Co oplotły dzikie róże?
Nie, nie, nianiu, inną bajkę,
Powiedz bajkę o królewnie...
Niechaj będzie strasznie bardzo,
Niechaj będzie bardzo rzewnie.
Proszę lampy nie zapalać —
Usiąść przy nas, ot, z tej strony,
W koło ciemno — na kominku,
Niech się ogień tli czerwony.
A gdy przyjdzie straszna chwila,
Gdy się dzieci będą bały,
Dej nam nianiu jedną rączkę,
A będziemy się trzymały.
Opowiadaj o zbójnikach,
Co zaklęte skarby mieli,
O rusałkach księżycowych,
Które tańczą na topieli.
O rycerzu nieszczęśliwym,
Co przez wieki spał w marmurze,
O tym zamku szczerozłotym,
Co się wzniósł na szklanej górze.
O zaklętym, żywym ogniu,
Który w górę musi buchać...
A my, długo w wieczór czarny,
Będziem słuchać, słuchać, słuchać...

S. M. T.

1. ŁAMIGŁÓWKA WIERSZYKOWA.

Jakież to piękne rodzinne życie,
Kiedy z dziecięciem zgadza się . . . . . .;
Gdy wszyscy żyją w zgodzie, jedności
Nie słychać kłótni, nie słychać . . . . . .
Jedno drugiemu chętnie ustąpi,
Jedno drugiemu pieszczot nie . . . . .,
Jedno drugiemu na pomoc spieszy
I jedno drugie w smutku . . . .

Kto zgadnie, jakich słów braknie w tym wierszyku, niech cały wierszyk ładnie przepisze i prześle do redakcji.

2. ZAGADKA.

Co to znaczy? 60 sztuk / ne.

Dobre rozwiązania łamigłówek z Nr. 1, nadesłały jeszcze przed otrzymaniem Nr. 2, następujące dziewczynki z Krakowa: Wyrodówna Anusia, Bellertówna Marynka, Zielińska Elżunia, Iwanejko Elżunia, Stryjeńska Magdzia, Olszowska Zosia, Szydłowska Stefa. Ze Stanisławowa: Suszko Stasia. Z Wilna: Hryniewiczówna Wandzia.

Czy znacie książeczkę p. t. „**Woda żywa**“, napisaną przez S. Jeleńskiego? Radzę ją przeczytać. To bardzo zajmująca historja małego Asera, który z narażeniem życia biegnie po ratunek dla ojca poranionego przez zbójców, a potem nie waha się okazywać miłości i wdzięczności wybawcy ojca, wzgardzonemu Samarytaninowi. Miłość i wdzięczność wypełniają życie Asera i jednają dlań serca ludzkie, a wreszcie wysługują łaskę poznania Mistrza z Nazaretu.

TREŚĆ:

Warunki prenumeraty „Mojego Światka“ od 1. września 1927 do dnia 1. stycznia 1928 zł. 1·50. Dla prenumeratorek „Dziś i Jutro“ zł. 1·20. Numer pojedynczy 20 groszy, dla prenumeratorek „Dziś i Jutro“ 15 groszy. — Kto pragnie nadal otrzymywać „Mój Śwtatek, niech nadeśle prenumeratę!
Adres Redakcji: Kraków, Starowiślna 3.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor:
Julja Felicja Bronikowska.
Odbito w Drukarni Polskiej w Krakowie.